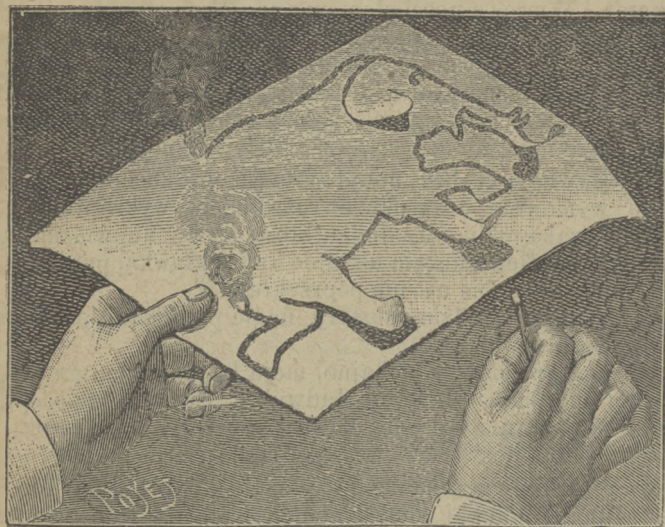




TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE CHEMICZNE.

Wskażemy wam sposób urządzenia bardzo zabawnej i ciekawej sztuczki, którą najpierw opiszemy. Bierzemy ćwiartkę białego papieru i drewnienko rozpalone do czerwoności przykładamy w jednym miejscu do papieru. Natychmiast punkcik ten na papierze zaczyna się palić, lecz co jest najdziwniejsze, niepojęte, ogień szybko postępuje, nie spalając jednak całego papieru, tylko tworząc na nim smugi, jak to na rysunku widzicie. Występują tym sposobem na białym papierze różne dziwaczne zygzaki, lub regularne rysunki, arabeski, figury zwierząt, a nawet napisy.

Patrzący na to dziwo w głowę zachodzą, tymczasem sztuczka jest bardzo prosta i łatwa do wykonania. Weźmy trochę saletry i rozpuśćmy ją w zimnej wodzie, ile się da, w roztworze tym umoczony pendzelek lub pióro gęsie nakreśli na białym, dość cienkim papierze, jakie kto chce desenie, figury, litery. Po wyschnięciu saletra żadnego śladu nie zostawi, a dość przytknąć rozpalone drewnienko do jednego punktu, nasyczonego tem ciałem niezmiernie łatwo zapalnym, aby natychmiast pożar rozszedł się po wszystkich zakrętach niewidzialnego rysunku. Wygląda to nadzwyczaj zabawnie.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Tam wre wesołość! Panny, bez płaszczów, kwiecisto wyglądające w jasnobarwnych sukniach i wieńcach na głowie, szykowały dla starszych pań robotę, czasem i same coś upięły lub zszyły, a młodzieńcy podawali nożyce, jeden z nich ofiarował się nawlec igłę, czego nie mógł od godziny dokonać, niewyczerpana przyczyna do przekomarzań się i śmiechu.

Jedna tylko panna była cicha i zalekniona, to Ludmiła. Śmiała na koniu i w szczerem polu, na dworskich kobiercach szła z obawą. Wprawdzie królowa przyjęła ją łaskawie, ale jeszcze niewiadomo jak ją król przywita? A przytem, znalazł się w sali ktoś dawno niewidziany, którego obecność odjęła jej odwagę. Michał Przedwojowicz posłyszał gdzieś aż w Lubelskiem, że dla uczczenia księcia Henryka ma być po Świętach wyprawiony turniej na Zamku Wawelskim, i ta wieść go ściągnęła do Krakowa. Przyszedł właśnie

prosić, aby jego imię wpisano w poczet walczących, i wnet uderzyła go postać Ludmiły, która dziś zwracała ogólną uwagę, nie tylko jako piękność, ale jako nowość, co wszędzie a zwłaszcza na dworach najwięcej popłaca. Wkrótce też, nie wiedzieć przez kogo podszeptęta, gruchnęła wieść o jej bogactwach, i wnet wszyscy panicze zaczęli się garnąć do nowoprzybyłej. Byli między nimi i nieszpetni, i dowcipni, a wszyscy tak ubrani, że malować. Jak zazwyczaj młodzi strojnisiowie, zarzucali odwieczny krój ubiorów narodowych dla mód wprowadzanych przez rycerstwo zachodnie, któremu wszystkie zamki i dwory europejskie były jedną wspólną ojczyzną. Włosy mieli wiszące wokół głowy, kwadratowo ścięte w pół czoła. Szata ich zwierchnia pływała swobodnie, tworząc tunikę niedosięgającą kolan; była z miękkiej tkaniny, a na jej tle powyszywane kraśniały różne prześliczne dziwolągi, mające wyrażać upodobania lub życzenia tego co je nosił. Najczęściej były to pawie i bażanty, ptaki czczone w zakonie rycerskim jako święte i tajemnicze godła. Inni, dumni swoim szczęściem w miłości, mieli na sukni salamandrę. Inni, pogardzeni przez wybraną piękność, nosili się w kirach nakrapianych srebrnymi łzami, istne karawany. Przedwojowic miał tunikę białą, wyszywaną w złote skrzydła, a gdy go pytano o znaczenie tych skrzydeł, mówił, że wyrażają wolność jego serca, które dotąd nigdy nie było usidlone, ale mówiąc to wziął nitkę z rąk Ludmiły i zadzierzgnął ją sobie na szyi.

Panna Agnieszka, opiekunka wszystkich strapionych, spostrzegła ciągle rumieńce i zakłopotanie Ludmiły, a litując się nad niedoświadczaniem wiejskiego dziewczęcia, postanowiła ją bawić i ośmielać. Wziąwszy się z nią pod rękę, pokazywała jej ciekawości nagromadzone w sali. Były to rzeczy tak niezwykle, że panienska, patrząc na nie, jeszcze bardziej oniemiewała.

Między oknami wisiało „Horologium” prawdziwy zegar o zębatach kołach, co sam chodził i — rzecz dziwniejsza — sam wybijał godziny. Jeszcze Iwo Odrowąż przywiózł go z Paryża. Wielkie to szczęście, że dotąd się nie popsuł, bo nikt w Polsce nie byłby potrafił go naprawić. Miał dwa cyferblaty, jeden nieruchomy, z cyframi dwudziestu czterech godzin, drugi mniejszy, kręcący się, przekreślony czerwonym krzyżem, którego wierzchołek stanowił wskazówkę. Nad skrzynią zegaru wychylała się głowa smoka, który ze srebrnozębnej paszczyki wyrzucał co godzina tyle gałek, ile razy miał zegar uderzyć. Gałki te z brzękiem spadały w miedzianą rynienkę, z kąd co wieczór napowrót wkładano je do smoczej głowy.

Pod zegarem stały półki, piętrzące się jakby schodki, sprzęt wówczas nieodzowny w każdym domu, gdzie miano się czem pochwalić. Tu leżały same precjoza: miedziana bizantyjska czerwono-żółta, z figurami czarno rysowanymi a pewnie świętymi, bo ich usta były oznaczone nie kreską ale krzyżykiem — psalterz królowej pisany po łacinie na fioleto-żółtych kartkach, miniaturami przekładany; możnaby nad każdą siedzieć i godzinę, a tu inne przedmioty odciągające oczy; ta naprzykład szkatuleczka z Limuzyńskiej emalii, gdzie na tle złotem stoją zielone i szafirowe osoby — albo te cudne szachy, w które król zawzięcie lubi grywać; podobno są arabskiej roboty, jedna połowa z czarnego oniksu, druga z białego kryształu, szachownica z jakichś drzew zamorskich. A jeszcze ciekawsze to zwierciadło okrągłe, nie metalowe ale prawdziwe zwierciadlane weneckie. Panna Agnieszka pokazując je Ludmille dodała:

— Nasza królowa nigdy nie może patrzeć na to szkło bez wzruszenia, bo to pamiątka po jej ciotce, tej niezrównanej Elżbiecie Landgrafowej Turyngskiej, którą przed kilku laty Ojciec Święty kanonizował. Zapewne, moje dziecko, słyszałaś o tym pysznym obrzędzie? Towarzyszyły mu dziewczynki, rzadkie okoliczności: rodzone dzieci Elżbiety, i to jeszcze malutkie, szły za relikwiami własnej matki; cesarz Fryderyk, ten sam, co to się niegdyś napróżno starał o jej rękę, szedł z koroną na głowie a bosemi nogami, aby pokazać czem ziemskie korony są obok niebieskiej. Otóż patrz: to

zwierciadło nasza Święta otrzymała przed ślubem od przyszłego męża, a Landgraf, jako człowiek rozumny, dobrze wiedział, że nie ucieszy narzeczonej znikomem zwierciadłem, cóż więc wymyślił?

Tu panna Agnieszka przycisnęła guzik i pokazała, że lustro ma dno podwójne, a na drugim denku była wymalowana przecudna głowa Chrystusa.

— Mądry człowiek, nieprawdaż? To jakby chciał powiedzieć, że na dzień każdej myśli ziemskiej powinna spoczywać myśl o Bogu.

— Ba! Jeszcze co innego chciał powiedzieć — wtrącił Przedwojowic, który nieznacznie podążył za dwiema pannami. — Filut Landgraf, przecież wszystkim wiadomo, że miał twarz zadziwiająco podobną do twarzy Chrystusowej, więc umieszczając ten święty wizerunek, umieszczał trochę i własny.

Pannie Agnieszce nie w smak poszły objaśnienia młodzieńca. Chcąc odwrócić uwagę, wzięła inne pudierko, może najciekawsze, bo rozpowiadające dzieje osób obecnych. Był to także dar ślubny, klejnot, którym książę Bolesław powitał królową Kingę, kiedy mu ją przed rokiem z za gór przywieziono. I my razem z Ludmiłą możemy na własne oczy podziwiać ten podarek, bo do dziś dnia leży on przechowany w Sąddeckim klasztorze; jest to sztuciec stołowy. Kosztowny jego wyrób zastanawia bujnością a zarazem niejednolitością fantazyi, która sobie wyraźnie jakichś nowych dróg szuka. Wszystkiego tam jest po troszku: są przypomnienia klasyczne, (rzecz dziwna w owym czasie), naprzykład grecki Centaur, już to ma się rozumieć przerobiony po średniowiecznemu, komicznie. Są i pomysły czysto osobiste, może podsunięte artystom przez Bolesława samego, który także, jak się zdaje, umiał być filuternym; na łyżce krwawinkowej rozkwitają listki podobne do ślubnych mirtów, a na trzonku od grabek, wyciętym z jednego ametystu, wśród gotyckich filigranów czają się gołąbki, i o zgrozo! figurki mocno podobne do pogańskich Amorków. Najmilszym dla obłubienicy musiał być trzonek od noża, przedstawiający według Litanii „Wieżę z kości słoniowej”. Pozdrowienie anielskie wyrze na jej blankach mogło i w chwilach biesiady naprowadzać myśli pobożne, a współczesnym przypominało może i owo cudowne pozdrowienie dziecięce, owe słowa: „Witaj Maryo, Matko Króla anielskiego!” które na podziw światu, małe Kinga miała jeszcze w kolebce wymówić.

Używanie grabek, dotąd mało rozpowszechnione, świadczyło wymownie o wysokim rozwinięciu wykintności na dworze krakowskim. Ludmiła, która nigdy nie widziała podobnych widełek, zaczęła nieufnie kręcić główką, pytając, jak to zrobić, aby sobie ust nie poprzekłować?

Ciekawe oględziny zostały nagle przerwane przez królową, która zawołała:

— Agnieszko! Słuchajno, moja kochana, co mi ksiądz Maciej opowiada o księżnie Jadwidze; czego też ta osobliwsza niewiasta nie wymyśli dla nieszczęśliwych! Zgadnij, co ona więźniom nosi? No, wszyscy zgadujcie.

Wnet całe zgromadzenie ścisnęło się w kółko, i każdy zaczął podawać swój pomysł; jedni wymieniali różne rodzaje monety, inni pokarmy lub ubrania.

Królowa ciągle dawała głową znak przeczący.

— Nie, jeszczeście nie zgadli. Cóż dla więźnia zamkniętego w podziemiu, w ciemnicy, jest największym dobrodziejstwem? Światło! Ona im daje, — świece.

— Świece! Świece! — Powtórzono dokoła. — Ach, prawda, to największe dobrodziejstwo dla ludzi, co zapomnieli jak słońce wygląda, co nawet często nie znają twarzy swoich towarzyszków niedoli.

— Ach, jak oni ją muszą błogosławić! — Wtrąciła Grzymisława z głębokim przekonaniem osoby, co dobrze zna męki więzienne.

Panna Agnieszka aż się w czoło uderzyła, wołając:

— A że też to nam nigdy na myśl nie przyszło!

— Ha! — szepnęła Kinga — trzeba teraz przynajmniej korzystać z przykładu, i zacząć zaraz, od jutra.

Tymczasem rozmarzony mistrz Gaudenty podniósł ku królowej mdlejące źrenice, i rzekł z westchnieniem:

— Ach! Bywają więźniowie zamknięci w przymusie i milczeniu twardszym, niż kamienna wieża. Dla nich jedno spojrzenie byłoby taką świecą, ulaną z wosku rajskich kwiatów.

(d. c. n.)

DZIWNY GRAJEK, *)

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

Wdzięczność jest bardzo pięknym i szlachetnym uczuciem, każdy powinien się starać o nabycie tej cnoty. Mamy przykłady najdzikszych zwierząt, które powodowane uczuciem wdzięczności, powstrzymywały swe krwiożercze popędy; psy zdychają nieraz na grobach swych dobroczyńców — więc cóż mówić o ludziach? Zaiste warte litości są istoty, nie żyjące w sercu tego świętego uczucia.

Posłuchajcie, młodzi czytelnicy, opowiem wam prawdziwe wydarzenie z życia, które powinno przejąć was rozrzewnieniem, a może i korzyść przyniesie. Działo się to w Tyflisie, mieście położonem między niebotycznymi górami, w dalekiej południowej krainie, Kaukazem zwaną. Kaukaz, to kraj żyzny i bogaty, jednak, jak wszędzie, i tam pomiędzy mieszkańcami jest wiele biedy i nędzy. I po ulicach Tyflisu wśród różnorodnej wschodniej ludności spotkać można pół nagie, z wybladłemi twarzami istoty. Niektórzy czekają zarobku, inni wyciągają rękę, prosząc o jałmużnę, inni zaś przeraźliwym śpiewem lub muzyką starają się trafić do miłosierdzia przechodniów.

Przed rokiem, na jednej z głównych ulic Tyflisu, w pięknym, mурowanym domu, mieszkała dość zamożna rodzina naszych rodaków, z jedyną dziesięcioletnią córką Hańdzią. Biedne dziecko było zagrożone niebezpieczną chorobą, suchotami. Nadziei ratunku nie było żadnej, lekarze używali wszelkich środków, by przedłużyć gasnące przed jutrzeńką życie. Zalecano, by dziewczynka przebywała jak najdłużej na świeżem powietrzu, pod wpływem gorącego słońca. Wynoszono więc na balkon wygodny szesłag, na którym dziewczynka pół leżąc spędzała dnie całe. Balkon wychodził na duży dziedziniec, ocieniony zwrotnikowemi drzewami. Na dziedziniec przychodzili często wędrowni muzycy z katarynkami i arfami, i krajowcy ze swemi oryginalnemi instrumentami.

Hańdzia bardzo lubiła każdą muzykę i przyjęcie takiego grajka było zawsze dla niej wielką rozrywką, opłacała wszystkich sownie. Między innymi przychodził też jakiś dziwny człowiek, grający na instrumencie, podobnym do naszej fujarki. Duży wzrost, kędzierzawe czarne włosy, śniado oliwkowa cera, zarośnięta twarz, szyja i ręce, białe zęby i dziko świecące oczy, czyniły tę postać na pierwszy rzut oka przerażającą. Jakiś był narodowości, niewiadomo, nikt też nie rozumiał jego mowy, bo wydawał jakieś syczące dźwięki. Odzież jego była obdarta, wynędzniała, chudy, chromał na nogę. A jednak przyjścia tego człowieka wyczekiwała Hańdzia codziennie z niecierpliwością; jego oryginalna, melodyjna muzyka, przepadła do serca dziewczeczki odrazu. Siadywał zwykle u parkanu, a mrużąc oczy, wygrywał długo, żałośnie. Trudno było uwierzyć, aby z piersi tego na wpół dzikiego człowieka mogły wychodzić tak rzewne i melodyjne dźwięki.

Gdy poraz pierwszy zjawił się przed balkonem Hańdzi i zaczął wygrywać, dziewczeczka na razie się przestraszyła jego widokiem, lecz potem słuchała go uważnie z rozrzewnieniem i dała mu srebrny pieniądz. Poraz pierwszy musiał go spotkać taki hojny datek, bo jeszcze grał długo po otrzymaniu go i dziękował, przykładając ręce do piersi. Nazajutrz o tej samej porze przyszedł znowu, dziewczeczka znowu słuchała go uważnie i na podziękowanie obdarzyła go takąż samą monetą. Lecz tą razą grajek nie chciał brać pieniędzy, pokazywał gestami, że jest już zapłacony; gwałtem wciśnięto mu pieniądz do ręki. Na trzeci dzień znowu przyszedł, znowu grał i znowu nie chciał brać pieniędzy, i taki targ powtórzył się przez dni kilka, zaledwo zrozumiał i oswoił się z myślą, że mu płacą z przyjemnością.

Tygodnie mijały, dziwny grajek przychodził codziennie; codziennie chora dziewczeczka słuchała jego oryginalnej, rzewnej muzyki, a on po skończeniu odchodził obdarzony i pełen szczęścia. Często przed odejściem zatrzymywał się przed chorą dzieciną, coś bełkotał, dawał jakieś znaki i oczy jego nabierały wtedy dziwnego wyrazu: zdawało się, że wrodzona mu dzikość łagodniała. I dziewczeczka przywykła też widzieć go i słyszeć o tej samej porze, i tęskniła, gdy się opóźniał. I tak zawiązała się przyjaźń między temi dwiema istotami.

Na nieszczęście życie dziecka topniało jak wosk i żadna siła ludzka nie była w stanie go zatrzymać. Stan chorój tak się pogorszył, że niepodobna było wynosić jej na balkon. Jakież było zdziwienie grajka, gdy przyszedł raz o zwykłej porze, a na zwykłym miejscu nie zastał dziewczeczki. Czekaj, oczy jego niecierpliwie się oglądają na balkon — dziecka nie ma; stoi i czeka, zaczyna grać, nikt go nie słucha, więc znowu milknie i czeka — napróżno; i tak raz po raz gra i wygląda niespokojnie. Upłynęła cała godzina, nareszcie biedny grajek smutnie odszedł. Nazajutrz znowu przychodzi, znowu toż samo nadaremne, niespokojne oczekiwanie. Tak przeszedł dni kilka, dziki grajek ciągle przychodził, ciągle swą muzyką wywoływał ulubioną słuchaczkę. Lecz nikt na niego nie zwracał uwagi i u nikogo nie mógł zasięgnąć wiadomości, bo nikt go nie rozumiał.

Po długim, bezowocnem wyczekiwaniu, wchodzi raz wreszcie na dziedziniec i widzi szczególniejszy ruch, pełno obcych ludzi, a wszystkich twarze zasmucone, snują się tu i owdzie zajęci czemś i zakłopotani. Grajek przeczuwa coś okropnego; pyta, nikt mu nie odpowiada, niepokój jego wzrasta, wchodzi machinalnie za innymi do mieszkania i widzi na środku pokoju, wśród kwiatów i świec płonących, w białych koronkach leży martwa jego ukochana słuchaczka. Staje jak wryty, nie rozumie na razie, co się stało, wpatruje się w uspioną na wieki bladą twarz dziewczeczki, wodzi błędnymi oczyma dokoła, jakby szukając, ktoby mógł mu wytłómaczyć to zjawisko. Wtem u węgłowia spostrzega smutną, bladą postać w czerni — to matka i wnet odrazu objął pojęciem całą okropną prawdę. Z piersi jego wydobywa się jęk straszny, przeraźliwy, podobny do wycia dzikiego zwierza i łyż jak grad potoczyły się po ciemnych, wykrzywionych polickach.

Po kilku chwilach takiego ryku, raptem, zcichła, twarz jego łagodnieje, jakaś myśl nowa rozpromienia mu oczy, wyjmuję fujarkę i zaczyna wygrywać ulubione przez dziewczeczkę melodie, i nachyla się, i wpatruje w nieruchomo leżącą, jakby wyczekując, czy jego muzyka nie przywoła jej do życia, lecz najmniejszego ruchu niema w ślicznych rysach uspionej: oczki zamknięte, usta blade, zaciśnięte. I znowu ryk przeraźliwy wydobywa się z piersi grajka: rwie włosy na głowie, szarpie suknie, wywija rękami, bełkoce niezrozumiałe wyrazy, zupełnie wygląda jak obłąkany.

Uwaga wszystkich zwróciła się na niego. Nawet matka w swój niemój rozpacz wstaje, podchodzi i poznaje grajka ulubionego dziecinie. Bładość jego ją rozczuła, wyjmuję pieniądze, wciska mu do ręki, lecz grajek je wyrzuca, pluje na pieniądze; ruchy jego stają się coraz żywsze, coraz rozpaczliwsze; płacze, jęczy, wskazuje na zmarłą, przykładając ręce do serca i znowu rwie odzienie i włosy. Wtem zrywa się i wybiega szybko z mieszkania. W parę godzin zjawia się znowu, w rękę trzyma pęk białych róż, na wykrzywionej, pół dzikiej twarzy wyraz niemój rezygnacji. Złożył u stóp zmarłej kwiaty i sam tuż usiadł na ziemi i żadna siła nie była w stanie usunąć go z tamtąd. Tak przesiedział nieruchomie,

*) Rozrzewniający ten opis przesłała nam osoba, mieszkająca w Tyflisie, na Kaukazie, zareczając za prawdziwość zdarzenia, którego była świadkiem (przyj. red.)

do wieczora i noc całą nie jedząc i nie śpiąc. A gdy naza- jutrz odprowadzono ciało zmarłej na cmentarz, siedł tuż przy trumnie, wciąż płacząc i wciąż zawodząc. Prawdziwie rozczulającą była rozpacz tej nawpół dziękującej istoty.

Potem, w ciągu długich tygodni, na cmentarzu, na świeżej mogile dziewczeczki, można było widzieć o jednej i tej samej porze dziwnego grajka; powtarzał od początku do

końca wszystkie melode, które grywał dla żyjącej, potem całował ziemię i odchodził.

Od kilku jednak miesięcy już nie widać dziwnego graj- ka na mogile, nie widać go i na ulicach Tyflisu. Musiał powędrować gdzieś dalej, dokąd, niewiadomo, jak nie wiado- mo, z kąd przyszedł.

Ritta z nad Kuru.



SCIPIONOWIE,

OBRAZEK DRAMATYCZNY W III ODSŁONACH

przez Maryą Leonę.

OSOBY.

KONSUL LUCIUS CORNELIUS SCIPIO AZYATYCKI.
PUBLIUS CORNELIUS SCIPIO AFRYKAŃSKI STARSZY.
MŁODY SCIPIO, SYN PUBLIUSA AFRYKANINA.
HANNIBAL BARKA, WÓDZ KARTAGIŃSKI.
ANTIOCH, KRÓL SYRYJSKI.
POSEŁ ANTIOCHA.
ŻOŁNIERZE RZYMSCY.
ŻOŁNIERZE ZE STRAŻY ANTIOCHA.

Gdy podbudzony przez Hannibala Antioch, król syryj- ski, wydał wojnę Rzymowi, a wybór na dowódcę tej wypra- wy wahał się między dwoma konsulami, Leliusem i Luciu- siem Scipionem młodszym, bratem Publiusa afrykańskiego starszego, ten ostatni, wracający właśnie z wojny, od której nosił zaszczytny przydomek, oświadczył przed senatem, że będzie namiestnikiem brata i tą obietnicą szale na stronę te- go ostatniego przeważył.

Gdy się ku granicom Antyocho zbliżali Rzymianie, on, nie dowierzając radom Hannibala i sile swojej, wysłał posły żądając pokoju, a że syna Publiusa Scipiona dostał był w niewolę, ofiarował mu go oddać, byle ten przywiódł spó- ziomków do zawarcia przymierza.

..... Publius Scipio, zgnębiony ciężkiem zwycięstwem nad miłością ojcowską, zaniemógł silnie, tak, iż nie zdołał już bratu towarzyszyć w dalszej wyprawie. Lucius Scipio za tę wojnę otrzymał przydomek azyatyckiego.

ODSŁONA I-sza.

(Dwór Antiocha Syryjskiego).

ANTIOCH, HANNIBAL.

HANNIBAL.

Nie, królu, ty Scipiona nie znasz, on dla syna Czei swojej nie poświęci; on korzyści żadnej

Jaką może dać Romie, nie wypuści z dłoni;
Pocóż prośbą o pokój korzyć się daremnie?
Pocóż na jaw wykazać swego wroga cnotę,
Że Rzymianin zwycięża w nim ojca?

ANTIOCH.

Ty, starcze,

Co taką nienawiścią palasz dla tej Romy,
Taką wielkość nadludzką chcesz widzieć w jej wodzu?
Publius Scipio człowiekiem jest... a przecież bogi
Na własne dziatki swoje nie zsyłały kłęski.
Gromowładny Zeus nieraz posłuchał Ateny,
Lub ustąpił Cyprydzie pięknej...

HANNIBAL (z uśmiechem).

Zeus był Grekiem,

Hellada kraj miękkości i czaru... Rzymianie
Ze śpiżu serca mają...

ANTIOCH.

Dla wrogów...

HANNIBAL.

Dla siebie.

Dla wszystkiego co Romą nie jest, albo chwałą.

ANTIOCH (w zamyśleniu).

Kartaga Regulusa widziała...

(po chwili milczenia).

Ten siebie

Oddał na pastwę zemsty; Scipio swego syna
Nie wyda na zgon pewny.

HANNIBAL (w zamyśleniu).

To motłochu hańba,

Mścić się na pokonanym za cnotę... Mąż każdy
Taksamoby postąpił...

ANTIOCH.

Marzysz, o najlepszy,

A tu rady potrzeba, nie dumań. Chcesz? próbę
Odbędziemy na młodym, więc słabszym umyśle:
Wezwę jeńca do siebie i śmiercią zagrozę,
Jeśli by ojciec jego nie zawarł przymierza
Niezbyst niekorzystnego dla mnie.

HANNIBAL (jakby nagłą myślą uderzony).

Pozwól, królu,

Że ja się z nim rozmówię. Sam uznajesz we mnie



Janek pochwycił gałąź i wskoczył na drzewo (70).

Dar przyciągania ludzi, i do moich celów
Prowadzenia ich działań...

ANTIOCH.

I owszem, najmilszy;

Każę ci tu przywołać młodego Scipiona,
Żeby z dworzan nie spostrzegł nikt naszej narady;
Wszystko przewidzieć trzeba... nuż się nie powiedzie,
Pocóż na drwiące myśli wystawiać swe czyny?

(wychodzi)

HANNIBAL (sam).

Pomówię z nim bez świadków; powiem Antiochowi,
Tyle, ile powiedzieć uznam za stosowne.
Jakakolwiek wypadnie odpowiedź młodzieńca,
Zawsze będzie zysk dla mnie: albo Rzymianina
Cześć pokala słabością, trwogą o los własny,

Albo utwierdzi ojca w hardości, i króla
Zmusi do dalszej walki — i tego Publiusa
Utrzymamy tu dłużej, zdala od Kartagi.
O Romo! i krwi twojej utoczmy!.. Świat cały
Ciasnym mi na wzbudzenie wrogów nienawistnej.
(Po chwili).

Więc jakiegokolwiek listy będą...

(zastanawia się).

Ja je wyślę..

(Wchodzi młody Scipio, kłania się i milczy. Hannibal wpatruje się
w niego. Po chwili)..

HANNIBAL.

Żal mi ciebie, młodzieńcze.

(Scipio milczy).

Nie wierzysz?... więc szczerze

Lepiej z tobą pomówię: Król posłów wysła
Do obozu rzymskiego, i przymierza żąda...

(po chwili).

Miło ci będzie wrócić do ojca, do swoich;
Tu ci smutno, młodzieńcze, wśród obcych?

(po chwili).

Król może

Daliej prowadzić wojnę, lecz mu krwi rozlewu
Już dosyć; więc pokoju na dobrych warunkach
Pragnie już dla stron obu. Ty też napisz słowo
Do ojca i do stryja.

MŁODY SCIPIO.

Chyba pozdrowienie

Prześlę? Ty przecież, wodzu dzielny, doświadczony,
Nie przypuszczasz, bym radą mógł być dla konsula?

HANNIBAL.

Gdy jeden wódz twym ojcem, drugim stryj?
(Scipio wzrusza ramionami).

Pisz tylko

Ze natychmiast powrócisz do obozu swego
Po zawarciu pokoju; a w razie odmowy
Pozostaniesz na długo, w najcięższej niewoli,
Nie tak, jak jesteś dzisiaj... A gdyby wodzowie
Nazbyt ciężkie warunki Antiochowi dali,
Przypłaciłbyś to życiem...

MŁODY SCIPIO (hamując się).

Chciiej pamiętać, panie

Że mówisz do Scipiona i do Rzymianina...

HANNIBAL.

Do młodzieńca w sił świecie, pełnego nadziei,
(z naciskiem)

Któremu życie sławę winno — i przyniesie.

MŁODY SCIPIO.

Gdy zaraz na początku splamię je nikczemnie?

HANNIBAL.

Niedbałyś o tryumfy? Więc pomyśl o Romie,
Co mógłbyś dla niej zdziałać, ile ponieść trudów;
Ile królestw na ziemi niezdobytych jeszcze
Czeka może na ciebie, byś ją ubogacił,
Byś rozgłosił jęj imię, rozszerzył granice.

MŁODY SCIPIO.

A teraz mam ubliżyć jęj!...

HANNIBAL.

Nadzieją ojca

Jesteś mężny, Scipionie i przyszłością rodu.

(Scipio milczy).

HANNIBAL.

Odmawiasz?

MŁODY SCIPIO.

Jam zdziwiony; ty co znasz Scipiona,

Którego Afrykańskim nazwał senat wdzięczny,
Przypuszczasz, że on rady potrzebuje mojęj,
Syna w młodzieńczych latach? Przypuszczaszże może,
Gdybym był tak nikczemnym, aby przenieść życie
Nad cześć ojca, nad Romy dobro — onby cnotę
Unizył dla takiego syna?... Z prawej drogi
Onby nie zszedł na stopę dla syna półboga,
A cóż dla niegodnego?... Cały rod Scipionów
Wyparłby się odstępcy!...

(po chwili).

Znacie Regulusa...

HANNIBAL.

To był obłęd; dziś wielkość szanujem we wrogu.
Obłęd uwiódł Kartagę. Spytaj Marcellusa,
Syna wielkiego Marka, jak cenimy cnotę,
Jak nawet w zmarłym mężu niesiem cześć zasłudze.
Wszak chwałę naszą zwiększa wielkość przeciwnika...
Ale król Antioch... Grecy... Syryjskie zwyczaje...
Nie żal ci życia?... Zreszta, nie moja to sprawa;
Jam wiedział, że odmówisz... Pisz jak myślisz, szczerze,
Ja wróg wasz, kartagiński wódz, zaręczam tobie,
Ze listy twoje wyślę.

MŁODY SCIPIO.

Dzięki ci.

(Na znak Hannibala kłania się i wychodzi).

HANNIBAL (po chwili).

Na teraz

Zmilczę o tem przed królem. A raczję posłowi
Sam oddam list młodzieńca. Wtem minie przeszkoda,
Choćby o wszystkim wiedział, nie pomyśli chyba,
Że zechcę jego wolę krzyżować w tój mierze.

(Stoi zatopiony w myślach).

Harda nieprzyjaciółko! nie tryumfuj jeszcze!
Kartaga jest znękana — ale żyje!... żyje!...
I wódz jęj stary żyje!... Póki on oddycha
Nie zbraknie tobie wrogów!... Nie znasz Hannibala,
Nie tyś go pokonała!...

(Z boleścią).

Ale swoi!... swoi!...

(po długim milczeniu).

Ich zaślepienie!... zawiść!... Od morza do morza
Wszystkie ludy uzbroję, wszystkie państwa wzburzę,
Świat cały spłonie ogniem mojęj nienawiści!...

(Koniec odstony 1-ęj).

(d. c. n.)

PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Żubr nie okazywał żadnego niepokoju, widocznie nie
sposzregł ani zwęszył chłopaków, do pni drzewnych przy-
tulonych. Ich to drażniło i mieli ochotę wyjść ze swych kry-
jówek i zajrzeć mu bliżej w oczy. Powstrzymali się jednak,
gdyż za przewodnikiem szło całe stado, niebawem też na
ścieżce ukazał się drugi żubr, postępujący za pierwszym tym
samym miarowym krokiem, potem trzeci, czwarty i coraz
więcej. Każdy z młodych naszych myśliwych mógł był ze
swego stanowiska z największą łatwością zastrzelić którego-
kolwiek z deflujących żubrów; żaden jednakże tego nie
uczynił, ten rodzaj polowania, zanadto pospolity, nie nęcił
ich wcale, a zwierzyzna takich rozmiarów na nic im się przy-
dać obecnie nie mogła. Postanowili więc przepuścić stado
spokojnie, nie mogli jednak wytrzymać, aby żubrom przynaj-
mniej figla jakiego nie wypłatać.

Gdy więc przewodnik zbliżył się już tak, że przecho-
dził wprost naprzeciw drzewa, za którym stał Janek Gedney,
chłopak wyskoczył nagle naprzód, zaczął wymachiwać rękami
i głośno krzyżeć. Był przekonany, że zwierzę spłoszone
pomknie śpieszniej i całe stado za niem pobiegnie; żubry
bowiem zazwyczaj tym sposobem dają się z łatwością płoszyć
i umykają nawet przed dzieckiem, jeżeli tylko śmiało i przy-
tomnie weźmie się do dzieła.

Tu jednak stało się inaczej, gromada żubrów, postępu-
jąca za przewodnikiem, zlekła się widocznie i poczęła bez-
ładnie na wszystkie strony pomykać; lecz sam przewodnik
przystanął, parsknął gniewnie, jakby obrażony, że mu do-
kuczają i niewiele myśląc, zwrócił się ku chłopcu z łbem po-
chylonym i groźnie wystawionemi rogami. Pomimo całej
swęj odwagi, Janek doznał wrażenia, którego nie możemy
nazwać zdziwieniem tylko, wrażenia, graniczącego z trwogą;
możebyśmy nawet niezbyt przesadzili, gdybyśmy powiedzieli
po prostu, że struchlał na widok ogromnego żubra, który
wyglądał rozwścieczony, parskął, wyrzucał kłęby pary no-
zdrzami, jak komin lokomotywy i pędził prosto na niego,
z chrzęstem złowrogim, łamiąc po drodze gałęzie, a kopyta-
mi grzebiąc ziemię.

— Na miłość Boską! — wykrzyknął chłopiec, zwracając się do kolegów — strzelajcie prędzej do tego zboja, bo będzie po mnie...

Ale Janek ani na chwilę nie stracił głowy, poskoczył więc z chyżością strzały do najbliższego drzewa, uchwycił zręcznie obu rękami wystającą gałąź i w mgnieniu oka siedział już na drzewie wysoko. Żubr na szczęście miał do przebijania gęste zarośla, co bieg jego utrudniało, inaczej byłby niezawodnie doścignął chłopca. Gdy ujrzał, że upatrzona ofiara mu się wymknęła, uderzył ze złością rogami o pień drzewa, ryknął, parsknął i zawróciwszy się, pędem podążył za stadem.

— Co wam się stało, czemuście nie strzelali? — zapytał Janek obu młodych Burtonów, gdy wreszcie odetchnął, widząc, że niebezpieczeństwo minęło.

Lecz żaden nie odpowiedział, natomiast dały się słyszeć wybuchy głośnego śmiechu, dwaj chłopcy aż się pokładali, tak serdecznie się śmieli.

— Czyście poszaleli? czegoż wy się tak radujecie? — pytał znów Janek.

— Żebyś wiedział, jak to zabawnie wyglądało — odezwał się w końcu Jurek i znowu śmiać się zaczął.

— Ach, jak zabawnie! — potwierdził Wiluś — takiego susa dałeś, wyskakując na drzewo, że i wiewiórka nie popisałaby się lepij.

— A żubr jaką głupią minę zrobił, gdyś mu się tak z przed nosa wymknął, cha cha cha!

Janek spuścił się z drzewa i równie serdecznym wybuchem śmiechu zawtórował towarzyszom, bo wyobraził sobie, jakie to musiało być zabawne widowisko, chociaż sam, jako aktor, niezbyt przyjemną rolę w niem odegrał.

— Chciałem żubrowi figla wyplatać — rzekł wreszcie — ale on podobno mnie wyplatał lepszego.

— Ach! i jakiego. Nie, ja nigdy tego nie zapomnę; pomykałeś przed nim, jak zając, a kiedyś drzewa dopadł... cha cha cha!

— Śmiejcie się zdrowi — mruknął Janek, trochę już zniecierpliwiony, siadając na trawie — jak się nacieszycie dostatecznie, to pójdziemy dalej, nocować tu przecież nie będziemy.

Dwaj chłopcy nie żalowali sobie i śmieli się jeszcze kilka minut, nakoniec zabrali pakunki, strzelby opatrzyli, przewiesili przez plecy i puścili się w dalszą drogę, trzymając się ścieżki wydeptanej przez żubry. Jeszcze kiedyniekiedy to Jurek, to Wiluś, wybuchał nagle śmiechem, na wspomnienie zabawnej miny Janka lub żubra podczas owiej przygody, lecz po pewnym przeciągu czasu wywietrzało im to z głowy i zaczęli rozmawiać o czem innym.

Południe zbliżało się dopiero, młodzi wędrowcy niezbyt jeszcze oddaleni byli od domu, postanowili iść ciągle naprzód aż do wieczora. Wszak otrzymali od rodziców pozwolenie spędzenia dni kilku w puszczy i przygotowali się na noclegi pod gołem niebem; było to nawet główną i najprzyjemniejszą częścią wyprawy myśliwskiej, która nie zasługiwałaby na tę nazwę, gdyby mieli na noc powracać do zwyczajnych łóżeczek.

Tymczasem wyprawa wcale nieźle się rozpoczynała, już odrazu spotkało naszych chłopaków parę przygód niezwykłych, bo przecież Janek mógł zaliczyć do sumy ogólnej, i przejścia swoje wczorajsze z dwiema panterami i dzisiejszą zwycięską walkę z młodym Indyaninem. Chłopiec wprawdzie nie przywiązywał do tych wypadków nadzwyczajnego jakiegoś znaczenia, zawsze jednak były to w jego życiu chwile pamiętne, pierwsze kroki niejako, zaznaczające przejście z dzieciństwa do wieku młodzieńczego. Wszystko więc składało się doskonale, trzej chłopcy raźnie i ochoczo postępowali po ścieżce leśnej, gotowi śmiało stawić czoło wszelkim przygodom, spotkanie z dzikimi zwierzętami było pożądanem dla nich, wszak wybrali się na łowy i mieli porządek strzelby, kulkami nabite. Nie przewidywali jednak straszniejszego niebezpieczeństwa, które czyhało na nich wśród pozornego spokoju ciszy zdradliwej, zalegającej puszcze.

— O Boże! — wykrzyknął nagle Wiluś — co ja widzę! Stado niedźwiedzi, a toż ze sto ich tam być musi i prosto w tę stronę wałą.

Chłopiec przesadzał trochę, do stu zapewne było tam jeszcze daleko, a jednak widok, który w tej chwili przedstawił się oczom młodych naszych myśliwców, mógłby być nawet i w najhartowniejszych sercach niepokój wzbudzić. Po samym środku ścieżki, w niewielkiej odległości, włóki się ocieźlałe ogromny niedźwiedź, za nim ukazywało się parę innych podobnych postaci. To też Wiluś, mając w pamięci świeżo widziane stado żubrów, wyobrażał sobie, że to początek defilady i że za tym przewodnikiem wlecze się ogromna gromada niedźwiedzi.

— Uciekajmy na drzewa! — wołał Wiluś, zapominając, że przed chwilą wyśmiewał się z ucieczki Janka i susów jego, gdy na drzewo się wdrapował. Żadnemu z nich nie było teraz do śmiechu.

— Dzieciństwo! — odrzekł Janek, wzruszając ramionami — wyszliśmy na łowy, a teraz na widok dzikiego zwierza będziemy uciekali i na drzewa się chronili! Toż piękne łowy!

— A któż to pierwszy uciekał i skakał na drzewo przed żubrem? — odciął się Wiluś.

— To była inna sprawa — rzekł Janek spokojnie — teraz nie ruszę się z miejsca i przywitam tych ichmościów, jak należy. Wy możecie robić, co się wam podoba.

Wiluś nic już nie odpowiedział, lecz śpiesznie pomknął w gęstwinę leśną, Jurek po chwili wahania podążył za bratem, Janek jeden pozostał niewzruszony na stanowisku, gotów zmierzyć się z gromadką dzikich zwierząt.

X.

Spotkanie z niedźwiedziem.

Była to widocznie pora dnia, w której zwierzęta leśne najliczniej się gromadziły u słonej polanki i raczyły się tym przysmakiem. Ztamtąd niedawno powracały żubry, a i niedźwiedzie przybywały z tej samej strony. Jurek i Wiluś roztropnie zeszli im z drogi, unikając spotkania z gromadką kudłatych wędrowców. Trzeba wiedzieć, że niedźwiedzie w jesieni są zwykle najlepiej wypasione. Zwierzęta te zasypiają na zimę, podobnie jak świszczce i wiele innych, a podczas snu, jakkolwiek nie jedzą zwyczajnym sposobem, żywią się jednak własnym tłuszczem, który przechodzi w krew i nieustannie ją zasila. Na wiosnę wychodzą ze swych kryjówek wychudzone straszliwie, zgłodniałe, a wówczas są najdrapieżniejsze i napadają każdą zdobycz zuchwale. Ale w jesieni niedźwiedzie bywają zwykle w łagodnym usposobieniu, nie rzucają się na żadne żyjące stworzenie, chyba jeżeli je pierwsze zaczepli i rozdrażni.

Owe „stado”, które Wilusiowi wydało się tak liczne, że do stu sztuk w niem narachował, w rzeczywistości składało się z trzech tylko. Janek wzruszył ramionami, gdy ujrzał sromotny odwrót dwóch swych towarzyszy, we trzech daliby z łatwością radę trzem niedźwiadkom, na jednego było to trochę za dużo, lecz dzielny chłopak ani myślał się cofać.

— Muszę przecież wypróbować moją strzelbinę — mówił, ujmując broń w ręce — wyszedłem na polowanie, spotykam zwierzynę, a więc... trzeba zapolować.

Trójka zwierząt była jeszcze dość oddalona, gdy ją chłopcy spostrzegli, lecz zbliżała się coraz więcej. Olbrzymi niedźwiedź, który szedł na przedzie, obaczył wreszcie Janka, stojącego na widoku, po samym środku ścieżki; zatrzymał się, podniósł nieco łeb do góry, chrapnął i nosem pociągnął a dwaj towarzysze, nie wiedząc zapewne, o co mu chodziło, przystanąli także i czekali wyjaśnienia.

Tu musimy powiedzieć na obronę dwóch braci Burtonów, że chociaż w pierwszej chwili drapnęli w las bez namysłu, nie uszli jednak daleko, zatrzymali się obaj, jednogłosem uczuciem wiedzeni i spojrzeli sobie w oczy.

(d. c. n.)

ODPOWIEDŹ NA ZADANIE Z N-ru. 4-go. W. R.

Dlaczego herbata utrzymuje się tylko po nad wodą osłodzoną, a miesza się zaraz ze zwyczajną bez cukru?

Nieraz robiłam tę sztuczkę dla młodszego rodzeństwa i udawała mi się zawsze, jeżeli woda była osłodzona, jeżeli zaś nie, to się mieszała zaraz z herbatą. Ale nie zastanawiałam się nigdy, dlaczego to tak jest.

Teraz zaś, pomyślawszy trochę, osądziłam, że woda osłodzona jest cięższą daleko od naparu z czajnika, a herbata, będąc lżejszą, unosi się z wierzchu i nie miesza z wodą.

Woda zaś zwyczajna jest lżejszą od herbaty i ta, nie mogąc utrzymać się z wierzchu, zaraz się miesza z wodą. 13 letnia Topolka z nad Kodemy.

Oprócz tego dobre odpowiedzi nadesłali: Al-Chemik.— Lelum Polelum.— Wróbelek z nad Wisły.— Nieznanomy. Kameleon.— Kuropatwa z nad Ikopetiu.— Jętka z nad Trzęsu.

SZARADA.

(Od Heliotropa dla Jaskółki z nad Sekwany).

*Pierwsza i druga, jeśli razem staną,
Za pan brat chodzą z frakiem i sukmaną;
Pierwsza i trzecia zawsze jest przy tobie,
We dnie i w nocy, za życia i w grobie;
Drugą i trzecią, gdy twa myśl zeswata,
Będziesz mieć ptaka, który wszędzie lata;
Trzecia nareszcie, gdy z pierwszą się złoży,
Znaczy rzecz przykrą, co każdego trwoży.
Jeśli kto woli, zamiast tego trudu,
Odrzuć dociec całości osnowy,
Niech jój poszuka we zwyczajach ludu,
Bo to jest znany obrządek ludowy.*

Łamigłówka głoskowa botaniczna (X. Y. Z.)

X
Y
Z

Wynaleść 15 nazw botanicznych czterogłoskowych i ułożyć je szeregiem, pionowo, na miejscu znaków. Litery, zastępujące gwiazdki, powinny utworzyć nazwę osoby dobrze znaną czytelnikom „Wieczorów”. Znaczenie wyrazów: 1. Krzew dziki z rodziny róż. 2. Roślina kolczasta. 3. Część główna wszystkich roślin kwiatowych. 4. Drzewo leśne. 5. Drzewo leśne. 6. Roślina groszkowa. 7. Roślina zamorska, której owoc jest bardzo rozpowszechnionym produktem żywności. 8. Chwast pełny. 9. Część drzewa. 10. Roślina bez kwiatu. 11. Roślina mająca własności lecznicze. 12. Gatunek zboża. 13. Roślina amerykańska o własnościach leczniczych. 14. Roślina hodowana i wielkie zyski przynosząca. 15. Nazwa łacińska rośliny zblizonej do tataraku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go.

Zadania konikowego:

Udało się ślepej kurze ziarno znaleźć.

Łamigłówki zgłoskowej:

PejpuS — LesznO — AlkohoL — TassO — Orlean.
Plato — Solon.

Zagadki:

Pióro dano mi rano, do roboty sadowiono.

Chociaż ta zagadka nie jest trudna do odgadnięcia, można jednak obalamucić słuchacza, czytając głoski rozdzielone tak, jak w poprzednim N-rze były drukowane, kładąc akcent na przedostatniej, a przytem udając cudzoziemskie wymawianie.

OGŁOSZENIE.

WYSZŁA Z DRUKU NAKŁADEM B. KOREYWY W KIJOWIE
GRAMATYKA POLSKA W ĆWICZENIACH
przez **Wiktorynę Korwinównę.**

Książeczkę tę, bardzo pożyteczną dla uczących się, polecamy czytelnikom naszym.

W NOWO OTWARTÉJ SZKOLE RZEMIOSŁ
Haliny z Leszczyńskich TOKARZEWSKIÉJ
w Warszawie, ulica Szkolna N-r. 8,
PRZY ZIELONYM PLACU

Można pobierać lekcye: kroju, łącznie z praktyką szycia i upinania sukien, strojów, żabotów, kapeluszy, mufek fantazyjnych, malowania na porcelanie, atlasie, drzewie, haftów rozmaitych jedwabiami i pelami; wyrobów z barbotiny, z glinki terracotty; wypalania na drzewie.

Kroczyni i modystka, udzielające lekcyj w zakładzie, pracują w pierwszorzędnym magazynie.

Całkowity kurs kroju rs. 10; za inne lekcye opłata miesięczna od 5 — 10 rs.

Patenta będą wydawne uczennicom, które ukończyły kursa.

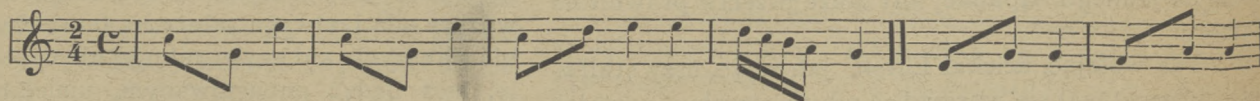
Nowo otworzony **W WARSZAWIE JEROZOLIMSKA N-r. 84 (RÓG MARSZAŁKOWSKIÉJ)** sklep **J. Z. RATYŃSKIEGO** zamieszkałego w **KIACHCIE** poleca wyborową **HERBATĘ** sprowadzaną stale i bezpośrednio z Chin w różnych gatunkach i po różnych cenach.

TREŚĆ: Doświadczenie chemiczne, (z drzew.). — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Dziwny grajak, zdarzenie prawdziwe, p. Ritte z nad Kuru—Scipionowie, obrazek dramatyczny w III odsłonach p. Maryą Leonę.—Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.) (z drzew.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Lis i kurczę, śpiew (z drzew.). p. Maryą Weryho — Prawdziwa siła i odwaga, p. M. Ziel. — Próżny żal, wiersz p. M. Ziel. — Sławny operator opowiedziała Marya z Grabowa. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy.** Dzieci Klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.

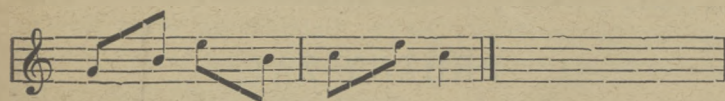


Lis i kurczę.

Mel. lud.



Smut-ny los, smut-ny los, Spot-kał kur-czę ma - łą; Ja - ki cios, Ja - ki cios,



Po-szar-pa - ne ca - łą!

Wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby, stają rzędem, trzymając się każdy swego poprzednika. Stojący na czele jest kura, inni pisklętami, a pozostający w tyle lisem. Kura chodzi z pisklętami i śpiewa:

Smutny los, smutny los,
Spotkał kurczę małe;
Jaki cios, jaki cios,
Poszarpane całe!

Tu zbliżają się do lisa, siedzącego w kącie, a kura go pyta:

— Co tu robisz, stary lisie?

Lis. Żeby wodę zagotować.

Kura. A na co ci ta woda?

Lis. Żeby kurczę oparzyć.

Kura. A z kądże je weźmiesz?

Lis. A z twój gromady...

To mówiąc, lis rzuca się na pisklęta, to z przodu, to z tyłu, a kura broni ich z wyciągniętymi skrzydłami. (rę-koma) Złapane kurczę staje się lisem, a on sam wtedy kurą, i broni piskląt.

Marya Weryho.

PRAWDZIWA SIŁA I ODWAGA.

Kazia i Niunia bawiły się bardzo często, prawie co niedziela z Lutkiem, bo ich rodzice żyli z sobą w przyjaźni. Zabawy te jednakże bywały bardzo spokojne, zwyczajnie jak w pokoju: gry siedzące i książki zajmowały dzieci najwięcej, chyba że która mama usiadła do fortepianu, to wtedy tańczyło się trochę. Aż tu pewnego razu w piękny dzień zimowy spotkano się na przechadzce i dzieci zaczęły swawolić, ślizgać się i bombardować wzajem ogromnymi kulami ze śniegu, przyczem Lutek jakoś niezbyt walecznie się popisywał: na ślizgawce ustępował z drogi, jakby się bał, żeby rozpedzona dziewczynka w śnieg go nie przewróciła, na bombardowanie ogromnymi kulami odpowiadał małymi gałeczkami, jak cukierki, jakgdyby obawiając się odwetu. Panienki dziwiły się temu:

— Czy to być może — szeptały — żeby ten Lutek, który się taki roztropny zdaje w pokoju, był takim śmiesznym tchórzem na śniegu? Czy on myśli, że jak upadnie, to od razu się zabije? Czy się boi, aby śniegowa kula nie ugodziła go śmiertelnie, jak armatnia? To chyba nie może być, trzeba się przekonać; napadnijmy obie na niego, przecież będzie musiał się bronić.

Tak postanowiwszy, dziewczynki natychmiast wprowadziły wojowniczy ten plan w wykonanie: chwyciła każda śniegu, ile ująć w obie ręce mogła i zlepwszy na prędcie, od razu z dwóch stron uderzyły niespodzianie na Lutka, uważając tylko, żeby w twarz nie trafić.

— Gwałtu!... a toż co za napaść na bezbronnego człowieka? — krzyknął chłopczyk przestraszony — panienki, zważajcie, że to nie honorowo rozpoczynać kroki wojenne, nie uprzedziwszy o tem przeciwnika, a i we dwie na jednego napadać, jest także przeciw prawidłom honoru!

Tak wołając, uciekał Lutek, jak zając, uszy stulivszy, ostrzeliwał się wprawdzie niby potrochu, rzucając w biegu gałkami śnieżnymi, ale to było tak widocznie tylko „dla honoru”, że wszyscy w głos śmiać się z tchórze zaczęli, a dziewczynki, goniąc go zawzięcie i bijąc kulami, ile wlazło, wołały przytem:

— A tchórzem być, dać się pobić dziewczynom, nie jestże przeciw prawidłom honoru?

— Oj nie, nie! — wołał Lutek — bo za każde uderzenie od panienki, należy tylko w rączkę pocałować!...

— Ha ha ha, a to chłopak bojaźliwy, jak zając — śmieli się panowie — ale jak zręcznie umie tchórzliwość swą osłaniać!

Ojciec Lutka uśmiechał się także, ale jakoś inaczej niż wszyscy. A wtem z bocznej alei Łazienkowskiego parku, gdzie się właśnie znajdowano, wyskoczyło trzech chłopczyków znajomych, idących także ze swymi rodzicami i snadź zauważyli od razu zajęczą minę Lutka, bo rzucili się za nim, wołając:

— Haż go ha! — jak za zającem i obrzucając go od stóp do głów śniegowymi kulami.

— Hola! — zawołał Lutek, spostrzegłszy nowych przeciwników i poczuwszy na plecach ich czynne wda-

nie się do walki — z chłopcami inna sprawa!... niech no tylko ustąpią trochę panienki!

I to mówiąc, Lutek jakże nie zabrał się do obrony, jakby się odmienił, tak zręcznie a chyżo jął wywijać się i wymykać pomiędzy trzema przeciwnikami, znajdując mimo to czas przylepić każdemu porządną kulę śniegową, że wkrótce trzej napastnicy musieli zmienić taktykę i zamiast napastować i atakować, zaczęli się bronić, jakkolwiek ich trzech było na jednego.

— Brawo! — wołali tymczasem, klaszcząc w ręce i śmiejąc się wszyscy rodzice. — Oto chłopczek dzielny i chwyt, do tego grzeczny i dobry, jak zwykle ludzie dzielni i silni; ze słabszymi od siebie umie grzecznie żartować, a mocniejszym nie dać się potrafi! Oto zuch!

Jeden tylko ojciec Lutka znowu nic nie mówił, uśmiechając się zlekka, bo znał on synka na wylot, i dobrze wiedział już wprzódy, że chłopczyk przez rycerską grzeczność jedynie pozwalał się niby zwyciężać panienką i udawał, że ucieka przed niemi w walce na śnieżne kule; ale teraz, mając do czynienia z chłopcami, i to z trzema na raz, sprawiał się wcale inaczej. To też dziewczynki zdumione dawno usunęły się na bok, a trzej napastnicy tracili coraz bardziej siły i odwagę, aż wreszcie wzięli nogi za pas i zmykać zaczęli, jak niepyszni, a Lutek, nie goniąc ich więcej, bo nie był ani mściwy, ani zawzięty, wołał tylko z daleka za nimi:

— A haż go ha!... trzech na jednego! Haż go ha!... — i tak wołając, ostrzeliwał śnieżnymi kulami pusty plac boju, jak się zwykle robi po ucieczce tchórzów.

Wszystko to oczywiście były tylko dziecinne żarty; w chwilę później owi uciekający wrócili do rodziców i razem wesoło i zgodnie powrócono z przechadzki do miasta. Niemniej jednak po powrocie do domów ojciec Lutka, nic nie mówiąc, pocałował w głowę swego synka, a inni ojcowie wytłómaczyli swoim dzieciom, że prawdziwa siła i odwaga zależy na tem, aby nigdy nie gnębić słabszych, ani nawet nikogo nie napastować zuchwale, lecz będąc napastowanym, umieć bronić się i zwyciężać.

M. Ziel.

PRÓŻNY ŻAL.

Dwa koteczki pocichutku
Pocieszały się raz w smutku,
Że im myszka jedna mała
Raz z pazurków ujść zdołała.
Wtem, gdy tak rozwodzą żale,
Inna myszka im zuchwale
Przesunie się po przed nosem,
Aż miauknęły niemym głosem,
Ale myszka już uciekła.
Wtedy kotków mama rzekła:
— Zamiast żalić się na szkodę,
Starajcie się, dziatki młode,
Wprawiać raczej w polowanie:
Próżny żal, gdy zło się stanie.

M. Z.

SŁAWNY OPERATOR.

Opowiedziała

MARYA Z GRABOWA.

— Proszę mamy, ja będę doktorem — odzywa się ośmioletni Władzio stanowczym głosem.

— Zkądże to nagle postanowienie? — pyta zdziwiona matka.

— To dopiero od wczoraj, słuchają rozmowy doktora S. i kuzynka Kazia o medycynie, ta myśl przysła mi do głowy. Mama była wtedy zajęta w stołowym pokoju, ci panowie siedzieli przy głównym stole i tatuś także, a ja w kąciку na małym stoliczku układałem łami-główkę i uważnie słuchałem; to wcale nie tak trudno być doktorem. Wszak mateczka byłaby zadowolona, gdybym sobie obrał ten zawód?

— Moje dziecko — z powagą rzecze matka — wiesz, jak pragnę ujrzeć cię kiedyś zacyym, wykształconym człowiekiem, któryby własną pracą zdobył sobie stanowisko w świecie, stał się pociechą i podporą rodziny. Ale to jeszcze bardzo do tego daleko, w tej chwili nie wstąpiłeś nawet do gimnazjum, a uniwersytet, a praktyka doktorska? Przytem nauka medycyny, obok wielkich zdolności, wymaga usilnej pracy i wytrwałości, a jak dotąd, to mój Władzio zbyt cnie do nauk się nie przykłada. Nieraz słyszę narzekania na pana Karola, że tak wiele zadaje i taki wymagający.

— Ech! proszę mamy, to co innego takie nudne lekcyje z korepetytorem, a co innego prelekcyje w uniwersytecie. Słyszałem wczoraj, jak kuzynek Kazio opowiadał o wykładzie jednego z profesorów, że studenci słuchali go z zapalem, nie mogąc się nasłuchać.

— Ale żeby ocenić piękność tego wykładu, trzeba moje dziecko, zacząć od tych nudnych lekcyj, jak mówisz. Bez należytego przygotowania będziesz słuchał prelekcyj, jak słuchasz panny Emmy, gdy mówi do ciebie po niemiecku.

— Moja mamó — woła Władzio, któremu te uwagi wcale się nie podobały — przecież ja wiem, że uczyć się trzeba; niech tylko zdam egzamin do pierwszej klasy, to co rok będę przechodził wyżej, uniwersytet pójdzie łatwiej, i ujrzy mama swego syna znakomitym lekarzem, europejskiej sławy operatorem.

— A już zaraz i operatorem — śmieje się matka, którą zapal Władzia bawi.

— Właśnie że operatorem — peroruje dalej chłopczyk — bo to najłatwiej; chlast, chlast, i już noga odcięta! Wczoraj słyszałem, jak opowiadał pan S., aż tatuś, taki rozumny przecież, a powtarzał kilka razy ze zdziwieniem: „Cuda, cuda prawdziwe wyprawiacie teraz”.

— I ja przyznaję to samo, że chirurgia wysoko sta-nęła; ale dla czego? sprawiła to nauka ludzi rozumnych, którzy jej się poświęcili. Dużo trzeba na to, aby tak można było robić „chlast, chlast, jak opowiadasz. Spytaj się pana S. ile lat poświęcił poważnej nauce? ile szpitali i klinik zwiedził w kraju i zagranicą, ile uczo-nych dzieł przeczytał, i napracował się wytrwale, zanim jego ręka nabyła tej wprawy. Gdy wzrok nigdy się nie

myli, można ciąć śmiało lancetem. I teraz jeszcze pan S. czyta, pracuje, aby się ciągle doskonalić. A ja nie jestem pewna — z figlarnym uśmiechem dodaje matka — czy mój Władzio będzie wytrwały. Przypomnij sobie nieszczęśliwe próby z malarstwem, mój stół pokrajany z epoki ciesielstwa.

— Cóż to znaczy, proszę mamy — tłumaczy za-czerwieniony Władzio — byłem wtedy jeszcze mały, ale dziś czuję w sobie prawdziwe powołanie, wszystkie przeszkody zwalczę, byle dojść do celu.

A chcąc czempredziej odwrócić uwagę od drażliwego przedmiotu, Władzio zwraca się znów do matki:

— Już jak zostanę doktorem, to nie będę jeździł skromną karetą w chude konie: cap, cap, wolnego truchcika... konie będę miał rącze, powozy wspaniałe! Wezmę sobie za furmana Franka, co to jest u wujaszka na wsi przy koniach, chociaż taki młody chłopak, już dzielnie jeździ na najszybszym wierzchowcu i wujaszek zawsze powiada, że z niego będzie doskonały stangret! Ubiorę go w piękną liberyą, posadzę z tyłu na amerykańskie, a sam będę powoził bułankami, zaprzężonymi w złocene szory. Na zmianę będą kasztany, a do karety ogromne konie kare. Jak mamie się zdaje, czy to będzie dobrze?

— Doskonale — śmieje się matka — po wspaniałych cugach będzie można poznać stan zdrowia twoich pacjentów. Wezwany do chorego, doktor jedzie faetonem: piękne kasztany, liberya granatowa! Operacyja się udała! Amerykan, złocene szory, służba w botfortach, białe róże przy rajtrokach, doktor w jasnym garniturze; gdy pacjentowi gorzej, karetą w konie kare ciemna liberya!

— Mama się śmieje, a ja mówię przecież poważnie — skarży się Władzio.

— Chcesz, mój Władziu, żebym płakała nad twoją lekkomyślnością? Kłopotiesz się o maść koni dla przyszłego doktora, który ma dopiero lat ośm... powiedz sam, czy to nie śmieszne?

Ale Władzio w swoim oratorskim zapale ciągnie dalej:

— Będę także myśliwym, wszyscy doktorzy lubią polowanie. Gabinet mój będzie śliczny. Na ścianach wypchane głowy dzików, sarn, zajęcy. W przedpokoju ogromny niedźwiedź, tak jak ten u państwa X., co go się tak Zosia złąkła.

— To samo może być z twoimi pacjentami; nie powiem, żeby to była myśl szczęśliwa. Wiesz co, czytałam anegdotę, że jakiś szarlatan w epoce, kiedy jeszcze nie znali działania chinu, cudownie leczył na febrę; miał w swoim gabinecie ukrytego za franką niedźwiedzia, który był zupełnie oswojony. Gdy przybyły pacjent zaczynał opowiadać o swych dolegliwościach, rozsuwała się niespodzianie franka i niedźwiedź wyskakiwał z łapami wyciągniętymi do chorego. Łatwo sobie wyobrazić jego przestrasz, lecz to wstrząśnienie miało skutecznie leczyć najuporczywsze nawet febrę. Może więc i u ciebie ten niedźwiedź podobne oddawać przysługi.

(d. n.)

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA (A. R.)

R A
 M *q* A
 I *R* R
 I K

Zapełnić kropki literami aby odczytać: 1. Zwierzątka wodne. 2. Ciecz upajająca. 3. Rzecz nieprawdziwą. 4. Człowieka latającego.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 7-go.

Łamigłówni głoskowej:

R Ś
 S A L A
 A D A M
 A D

Skrzynka do listów.

Mechanikowi musimy odmówić, mamy stałych współpracowników do artykułów tego rodzaju. Homonimy są dobrze ułożone.

Czeska Niezabudka tyle zawsze miłych rzeczy umie w liścikach swych zamieścić, że z prawdziwym upodobaniem są czytane. Autorka „Branki litewskiej” dziękuje wszystkim czytelniczkom, które tak pochlebnie się wyrażają o jej powieści.

Blondynce z nad Suchowólki nie potrafimy dokładniej od Gołąbki wyjaśnić, jak się pisze odpowiedź na zadanie. Po odczytaniu sprawozdania zapewne to lepij zrozumie. Liściki trzeba pisać na osobnych kartkach. Mielibyśmy jeszcze dużo do powiedzenia tej Blondynce, o której dochodzą do naszej redakcji wiadomości różne, i dobre, i złe, a chociaż tych ostatnich bardzo jest niewiele, pragnęlibyśmy, aby i w tem korzystna zmiana nastąpiła. To tak łatwo, kochana Blondyneczko, troszkę się zastanawiać i stać się porządniejszą, rozważniejszą. Do opłaty rocznej brakuje 40 cent.

Wiselka obecnie nie pisuje do „Wiecz.”, więc nowa korespondentka może ten ładny pseudonym zachować.

Światelko już teraz niedługo czekać będzie, parę dni cierpliwości...

Gospośia z nad Warty zaniepokoiła nas doniesieniem, że nagroda nie doszła. Ale nie straci na tem Gospośia, sprawdzimy to na poczcie i wyślemy drugą.

Gwiazda północna może pisywać pod tym pseudonymem, bardzo jest ładny.

Wierna czytelniczka „Wiecz.” zaciekała nas bardzo, nie możemy odgadnąć pod jakim pseudonymem była znaną. Nazwisko, adres i lata tylko przy odpowiedziach na zadania konkursowe koniecznie wymieniać trzeba. Szarża (atak wojskowy) zmieniła pseudonym, Amata, „kochana” po łacinie; a kochana to dziewczeczka w rzeczy samj.

Baniuta stosowny i ładny wybrała pseudonym. Powiastek tłómaczonych nie przyjmujemy.

Wejdawutas nie zdziwił nas wcale swoim pseudonymem, przeciwnie, wybór jest dobry.

Jutrzenki obecnie brakło w gromadce naszych korespondentek, bo dawniejsza wyrosła z „Wiecz.”, więc chętnie witamy nową.

Pierwszą Kwadrę, nową czytelniczkę, prosimy, ażeby do konkursów naszych należała. Sądząc z kaligrafii musi być panienką dorastającą, więc szkoda czasu, bo po latach 15-tu kłamka zapada...

Adaś E. trafnie odgadli wszystkie zagadki.

Karol D. i Józef K. odgadł zadanie konikowe.

DO WSZYSTKICH. Takie mnóstwo liścików nadeszło w ostatnich czasach, że pomimo najserdeczniejszej chęci dogodzenia kochanym korespondentkom, w żaden sposób pomieścić ich nie możemy, wyliczamy więc tylko pseudonimy piszących. Jaskółce z nad Sekwany, kochanej przez wszystkie czytelniczki nasze, przesyłają pozdrowienia Sarenka z lasów Mazowieckich, Mgła i Światelko. Dzierlatce z nad Zharu Blondynka z nad Suchowólki, Wisience z nad Sobu Biała Ostróżka, Cyganeccze z nad Wisły Wajdewutas, Kołowrotek i Filaretka; Gwiazdce z nad Smotrycza Kołowrotek, Rózyccze Białej z Wołynia Góralka i Lewkonia, Kołowrotekowi Mała Laszka, Trójce Pif, Puf, Paf Wyrwidąb, Trawce z nad Konika Żabka z nad Muchawki, Łatce i Zawiei ukraińskiej Wichura ze stepów ukraińskich, Wańdzi z Zielonego placu Blondynka Podlaska, Orzelkowi Masław, Królownie Salin Gałązka paproci, Śmiętance Bajurka z Ludwińskiego podwórka, Ninie w Wołodowicach Stokrotka i Cyganka z nad Bystrzycy, Konwalijce z nad Bobrówki Wisienka, Amazonce podlaskiej Halka z Litwy, Oleńce Anusia, Wisience z nad Sobu i Hallee z Litwy Śmietanka, Dewajtisowi i Topolce srebrnej Westalka, Łobuzowi, którego osobistości nie odgadła, Niezapominajka z Polesia. Sami zapewne przyznacie, że na pomieszczenie tylu liścików potrzebaby chyba cały Dodatek poświęcić ze szkodą młodszych czytelników.

Stasiu Ab! w Krakowie! Proszę cię, obierz sobie jaki pseudonym i napisz do mnie przez W. R. Ja jestem Kaz. Pr., mieszkam w Warszawie.

Kochani Heliotropie i Szachu! Heliotropie, znam cię dobrze, zgadnij kto jestem. A ty, Szachu, nie domyślisz się tego; wiedz tylko, że mieszkam przy ulicy Świętokrzyskiej. Wasz Mechanik.

Moja ty Kapryśna jedynaczko! Trafiaś wybornie, odzywając się do mnie, bo i ja jestem jedynaczką, a nawet (powiem ci to pod sekretem) złośliwe języki szepcą, iż jestem czasami troszkę kapryśną. Mnie się zdaje, że to wada wszystkich jedynaczek, tylko nie każda jest tak szczerą i otwartą, jak ty, by się do tego przyznać. Kocham cię za to serdecznie i proszę cię o bliższe wiadomości o sobie. Twoja nowa przyjaciółka, Brzydotka z nad Tamizy.

Kochany Wilku ze stepów Chersońskich! Ponieważ mało się odzywasz do W. R., więc umyślnie piszę do ciebie, żeby cię wyciągnąć na gawędkę. Jak ci, Wilku, na imię? mnie Edward. Proszę cię, odpisz mi niedługo, bo jak nie, to cię zamrozę! Twój Straszny Mróz.

Kochana Dumko i Halko z Litwy! Bardzo się ucieszyłam twoim listem, moja miła Dumko i wpadłam w tak szalony humor, że aż ze zdziwieniem na mnie spoglądano. Żal mi, że nie mogę słuchać twoich dumek. Sama nie gram, a jednak muzykę i śpiew bardzo lubię. Dziękuję ci, Halko kochana, za pozdrowienie. I mnie, bardzo dodobał się twój pseudonym, przypominasz mi Halkę Moniuszki, którą moja Mama grywa i za to cię lubię. Palmie przesyłam uściski. Całuję was serdecznie, Jedlinka.

Kochana Kureczko z nad Ikwy! Bardzo mi się podobałaś ze swego pseudonymu. Lubię kureczki i gospodarstwo wiejskie, a przytem mieszkam blisko Ikwy. Jestem jedynaczką. Nie mam stosownego towarzystwa. Chcę więc choć listownie zaprzyjaźnić się z tobą. Napisz mi co robisz wieczorami? Całuję cię, Pierwsza Kwadra.

Kochana Topolko srebrnolistna! Dowiedziawszy się, że jesteś od lat kilku czytelniczką Wieczorów Rodzinnych, piszę do ciebie, jako do dobrej znajomej. Nazywasz się Jadzia K., jesteś w IV klasie, masz siostrę dorosłą i więcej rodzeństwa, których jednak nie znam. Nie będzie ci trudno odgadnąć kim jestem, gdyż znajdziesz mnie w gronie koleżanek. Całuję cię serdecznie, czekając na odpowiedź. Wiselka.

Droga Szara Kotko z nad Chomoru! Znam cię doskonale, nazywasz się J. D., w Kwietniu skończysz lat 9, masz siostrzyczkę Z starszą od siebie. Napisz mi, czy mój domysł jest trafny. Tymczasem przyjm uściśnienia od Białej Chmurki.